

JERZY OD SMOKÓW

Dzięki niemu mogliśmy mieć nieodparte wrażenie, że spotkaliśmy na swej drodze takich „wspaniałców” jak Gombrowicz, Witkiewicz, Schulz, Achmatowa. Sam był jednym z nich.

GRZEGORZ PRZEBINDA

ZARAZ PO ODEJŚCIU DO WIECZNOŚCI TAKIEGO GIŁganta, jakim był Jerzy Pomianowski (1921–2016) – pisarz, tłumacz, redaktor, uniwersytecki wykładowca, a i wizjoner polityczny – próba zarysowania jego sylwetki wydaje się zadaniem karłowatym.

Mam też wrażenie, iż Pomianowski, pomimo swych matuzaleмовych 96 lat, odszedł od nas za wcześnie. Tym bardziej że w ostatnich dwóch latach, zapewne z powodu choroby, nie słyszeliśmy jego głosu na temat aneksji Krymu jako nowego oblicza putinizmu, nie mówił też nic publicznie o skłóconej śmiertelnie Polsce czy potwornej korupcji na Ukrainie, ani o Europie Zachodniej czy Ameryce z ich buntem mas i populizmem. A miałby mnóstwo do powiedzenia jako jeden z najlepszych przedstawicieli polskiej inteligencji, wytrawny znawca Rosji i w ogóle całej tej przestrzeni rosyjsko-ukraińsko-białoruskiej, którą sam nazywał Najbliższym Wschodem.

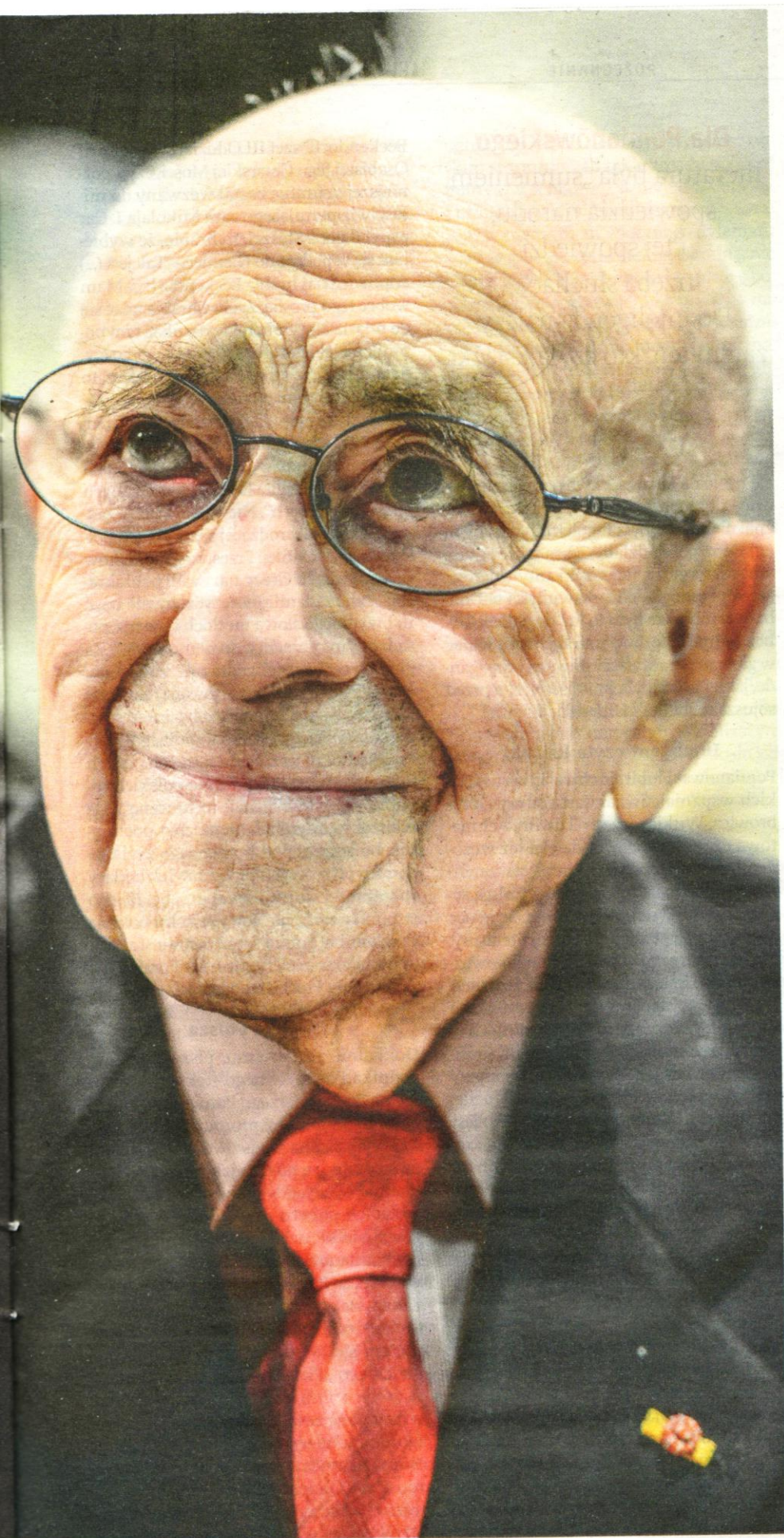
Od Sankt Petersburga do Rzymu

Był też zadomowiony na Zachodzie, we Włoszech przede wszystkim, dokąd wyemigrował przymusowo po 1968 r. i gdzie wykładał przez ćwierć wieku literaturę polską na uniwersytetach w Bari, we Florencji i w Pizie. Czuł się jak u siebie w Paryżu, gdzie systematycznie odwiedzał Giedroycia, spotykał się z Iryną Iłowajską-Alberti i Natalią Gorbaniewską w redakcji tygodnika „Russkaja Mysl”. A bywał i w Monachium, gdzie w 1970 r. rozmawiał z tłumaczonym przez siebie jeszcze w głębokiej młodości Erichem Kästnerem.

Urodził się 13 stycznia 1921 r. w Łodzi w zasymilowanej rodzinie żydowskiej, tam ukończył gim-

nazjum, mając za nauczyciela języka polskiego i wstępu do filozofii Mieczysława Jastruna. Zdążył jeszcze postudiować filozofię na Uniwersytecie Warszawskim, m.in. u Tadeusza Kotarbińskiego, jednak we wrześniu 1939 r. został zmobilizowany do 36. Pułku Legii Akademickiej „Dzieci Warszawy” i wyruszył na front wschodni.

Ranny trafił do szpitala w Łucku na Wołyniu. Zgarnęła go tam po 17 września Armia Czerwona, znalazł się w szpitalu w Doniecku. Potem była praca w kopalni Krasnopolie w Donbasie, pobyt w Stalinabadzie (Duszanbe) w Tadżykistanie, gdzie służył w pogotowiu i rozpoczął studia medyczne, ukończone na „otliczno” w 1947 r. w Instytucie Medycznym nr 1 w Moskwie. W latach 1944-46 był moskiewskim korespondentem PAP-u. W Polsce porzucił – niczym Antoni Czechow i Michał Bułhakow – sztukę lekarską na rzecz literatury. „Ślub wziąłem z medycyną, dzieci wszak dorobiłem się z literaturą” – zwykł mawiać. Po tak solidnej lekcji języka rosyjskiego zajął się też przekładem literackim. Tłumaczył m.in. obu wspomnianych rosyjskich doktorów – „Opowiadania uciężne” Czechowa oraz „Szkarłatną wyspę”, „Moliera” i „Don Kichota” Bułhakowa. W późnym eseju „Co literatura zawdzięcza medycynie” napisał: „Uczono nas – i dobrze nauczono – że ludzie są równi. W deontologii lekarskiej ten nakaz brzmi inaczej i zawarty jest w obowiązku nieodmawiania pomocy nikomu, bez względu na pochodzenie, wyznanie, kolor skóry (...) zasada – bez której nie ma wolności i braterstwa. W książkach pisanych przez lekarzy ta zasada da się z reguły odczytać. (...) Czechow powiedział kiedyś: »Wierzyć w Boga – to nietrudne. Wierzyli



w niego także inkwizytorzy. A spróbuj pan uwierzyć w człowieka».

Po ostatecznym powrocie do Polski w 1994 r. i osiedleniu się w stylowej przedwojennej willi przy ulicy Gramatyka w Krakowie krążył między Małopolską a Warszawą, bywał w Sarajewie na spotkaniu bośniackiego i polskiego PEN Clubu, w Trieście z referatem na sesji poświęconej Schulzowi – którego, a jakże, też poznał osobiście przed wojną, notabene dzięki pośrednictwu Stanisława Ignacego Witkiewicza.

Jego ulubionym miastem był Rzym, ale bywał też w latach 90. w Sankt Petersburgu z odczytem na temat polityki wschodniej paryskiej „Kultury”, a w czerwcu 1995 r. spotkał się w Moskwie z Aleksandrem Sołżenicynem, którego „Archipelag GULAG” przetłumaczył kongenialnie dla Giedroycia, ukryty jeszcze za pseudonimem „Michał Kaniowski”. Przetłumaczył też – pod tym samym pseudonimem – „Mój kraj i świat” Andrieja Sacharowa oraz „Świat obozów koncentracyjnych a literatura sowiecka” Michaiła Hellera. Wszystko to czytałem z wypiekami na twarzy podczas studiów uniwersyteckich w Krakowie w latach 1978-83, ucząc się pośrednio od Pomianowskiego – tak samo, jak i od Andrzeja Drawicza – iż „rosyjski” nie znaczy „sowiecki”, wrogiem zaś Polski jest imperium, a nie poszczególni Rosjanie.

Pomianowski wspominał z dumą swe rosyjskie spotkania z czasów wojny i te późniejsze – z Anną Achmatową w Taszkencie i Moskwie, z Borysem Pasternakiem, Jurijem Oleszą, Polakiem z pochodzenia, autorem głośnej ongiś „Zawiszczy”, z genialną aktorką Fainą Raniewską i z Jewgienijem Szwarzem, dziś niesłusznie zapomnianym autorem scenicznych „Baśni dla dorosłych”. Przetłumaczył siedem wierszy Osipa Mandelsztama, z którego poezją zapoznał się w donbaskiej kopalni Krasnopol: „Znalazłem – wspominał – jego »Tristia« w biblioteczkce lazaretu. Nazwisko autora było przezornie wycięte ze szmuctytułu” („Z Mandelsztama. Siedem wierszy”). Dwa Mandelsztamowskie liryki w przekładzie Pomianowskiego – „O jeszcze mi daleko do patriarchy” i „Brnąłem wieczoru wczorajszego” – ukazały się w „Kuźnicy” i „Odrodzeniu” w 1946 r., gdy w Kraju Rad nawet jeszcze imię zamordowanego przez Stalina poety objęte było ścisłą klauzurą milczenia. Wiersz drugi po latach uzyskał sławę →

Jerzy Pomianowski, Warszawa, 2015 r.

→ jako „Cyganka” w mistrzowskim wykonaniu Ewy Demarczyk, przy skrzypcowym akompaniamencie Zbigniewa Wodeckiego. Oryginały wierszy otrzymał Pomianowski od samej wdowy po poecie – niezłomnej Nadzieży Mandelsztamowej.

Sztuka przekładu

Głównym dziełem jego twórczego życia pozostaną przekłady z Izaaka Babla – „Armia konna”, „Opowiadania odeskie”, „Dziennik 1920”, dramat „Zmierzch”. Z noweli „Guy de Maupassant” Izaaka Babla: „Fraza rodzi się w kształcie jednocześnie i złym, i dobrym. Tajemnica sprowadza się do ledwie wyczuwalnego przesunięcia. Dźwignia powinna dobrze leżeć w dłoni i grzać się w jej ciepłe. Użyć jej należy raz tylko, a nie dwa. (...) Żadne żelazo nie może wejść w ludzkie serce z tak mrozącą siłą jak kropka w porę postawiona”. Tako rzecze po rosyjsku Babel i tak go kreuje na nowo w polszczyźnie Pomianowski, dla którego przekład literacki był nie tylko rzemiosłem, ale i sztuką wysoką, mającą na dodatek sprzyjać porozumieniu między nacjami w Europie od Atlantyku aż po Ural. Wiem z osobistych rozmów, że była mu bardzo bliska idea dwóch płuc chrześcijaństwa – katolickiego i prawosławnego – głoszona przez Jana Pawła II, ale za rosyjskim poetą Wiaczesławem Iwanowem.

Zaczął się parać przekładem jeszcze w latach 30. XX wieku, zaczynając od tłumaczeń „*Lyrische Hausapotheke*” („Lirycznej apteczki domowej”) doktora Ericha Kästnera. Gdy już współcześnie Karl Dedecius w książce „*Deutsche und Polen*” opisywał niezwykle, indywidualne przypadki przyjaźni łączącej Niemców i Polaków w trudnym XX wieku, to „wspomniał niejakiego Pomianowskiego, który przez całą wojnę przeniósł w tornistrze żołnierskim, a później jenieckim, tomik Ericha Kästnera, właśnie tę »*Lyrische Hausapotheke*«, i miał z nią pewne kłopoty” (z książki „To proste” z 2015 r., zawierającej genialne opowieści Jerzego Pomianowskiego nagrane przez Joannę Szwedowską dla Programu II Polskiego Radia). Kłopoty owe pojawiły się już we wrześniu 1939 r., we wspomnianym szpitalu polskim w Łucku, gdy musiał się tłumaczyć z posiadania niemieckiej książeczki, ale miał na szczęście pod ręką – jako alibi – wycięte z przedwojennych „Szpilek” przekłady własne „Apteczki”.

Groźniej było po 17 września, gdy trafił w łapy sowieckie: „Przy rewizji przed pierwszym zjazdem do kopalni Krasnopolu, zanim umieszczono nas w znajdującym się w jej pobliżu obozie, znalezione tę samą książkę. Na szczęście udało mi

Dla Pomianowskiego
literatura była „sumieniem,
spowiedzią narodu,
i tej spowiedzi
trzeba słuchać”.
Do inteligencji należy
zatem ten, kto czyta książki.

się trafić na lekarza, chwala niech mu będzie – doktora Ustimenko, Ukrainca, który znał niemiecki. Był długoletnim więźniem (...) Otóż powiedział: »To są jakieś głupstwa, satyryczne wierszyki antyhitlerowskie«. Pomogło, bo enkawudyści w Donbasie – mimo że było to już po pakcie Ribbentrop-Mołotow – mieli jeszcze widać w głowach tę antyfaszystowską propagandę, jakiej pełna była prasa sowiecka przed sojuzem Stalina z Hitlerem.

Inteligent czyta książki

Pomianowski lubił się chwalić, iż znał „takich wspaniałców jak Jastrun czy Gombrowicz, Witkiewicz czy Tuwim, Achmatowa czy Solżenicyn”. Udzielał też szczerych pochwał współczesnym, cenionym przez siebie rodakom: „My tu w Polsce żyjemy w cudownej, świetnej epoce, epoce niesłuchanego rozkwitu naszej literatury, i to literatury ogromnie ważnej i poważnej. Bardzo jestem dumny z tego, że jestem skromnym, ale i współczesnym takich ludzi jak Miłosz, Mrozek, Herling-Grudziński, Konwicki, Herbert, Lem, Brandyś – jeden i drugi, Szyborska, Szczepański, Szczypiorski, Ficowski, Krall, Huelle, Kieślowski, Woroszyński. Przecież to jest prawdziwa świetna falanga wielkich talentów. I wszyscy ci ludzie – a dodam do nich jeszcze publicystów takich jak mój nieodżałowany przyjaciel Stefan Kisielewski, jak Bratkowski, jak Kuśmierek, Komar, jak Szczęsna czy Paradowska. To są fenomeny! Fenomeny, czyli ludzie, którzy zachowali trzeźwość spojrzenia i ostrość pióra w momencie, kiedy całe olbrzymie masy dawały sobie przytępić wrodzoną sobie inteligencję”.

Do inteligencji – jak podkreślał Pomianowski, uważając, iż taka grupa istnieje tylko w Polsce, częściowo w Rosji – należy ten, kto czyta książki. Z upodobaniem powtarzał anegdotę o walce rosyjskiego cara ze słowem drukowanym: „Gdzieś w latach trzydziestych XIX wieku hrabia von

Beckendorff, szef III Oddziału Kancelarii Osobistej Jego Cesarskiej Mości, czyli późniejszej ochrani, został wezwany do miłościwie panującego cara Mikołaja I. Car zapytał go: – Słyszałem hrabio, że wybierasz się w podróż do Niemiec. – Tak jest (...) odpowiedział hrabia Beckendorff. – Mam wobec tego prośbę. Zechce hrabia udać się do miasta Norymbergi i odszukać tam pomnik niejakiego Gutenberga, tego, co wynalazł druk. Jeżeli go hrabia znajdziesz, to proszę plunąć mu w pysk”.

Literatura była dla Pomianowskiego „sumieniem, spowiedzią narodu, i tej spowiedzi trzeba słuchać”. „Nie ma – powiadał – innej elity niż elita ludzi wykształconych i doświadczonych”. Nie wierzył zaś w żadną większą rolę rodzącej się w bólach polskiej klasy średniej. Przestrzegał rodaków przed tym, „co Grecy nazywali ochlokracją, czyli rządami tłuszczy, żeby nie użyć tu brzydkiego słowa motłoch i nie być sądownym o niechęć do demokracji”. Za główną cechę inteligenta (nie wrodzoną, lecz nabytą, wręcz wypracowaną) uznawał Pomianowski zdolność do bezinteresownej służby na rzecz dobra wspólnego. Wierzył nadto, że jeszcze na naszych oczach dokona się „przekształcenie polskich robotników w inteligencję techniczną”. Ale wierzył tu, moim zdaniem, zbyt pochopnie, bo jeszcze pod koniec jego życia jeden z wpływowych przedstawicieli klasy robotniczej sformułował groźbę, iż jego stronnicy zaraz po Nowym Roku pokryją czapkami tę gorszą część narodu. Tak jak to już było w 1968 r., gdy Jerzy Pomianowski musiał z Polski uchodzić.

Nowaja Polska

Dokładnie 16 lat temu, pisząc dla „Tygodnika Powszechnego” tekst rocznicowy na 80-lecie Jerzego Pomianowskiego, zatytułowałem go proroczo „Człowiek XXI wieku”. Znałem już wówczas jubilatę od siedmiu lat, po tym jak w 1994 r. – dokładnie wtedy, gdy do Rosji powracał po 20 latach pobytu na przymusowej emigracji wielki Aleksander Solżenicyn – Jerzy Pomianowski repatriował się z ziemi włoskiej do Polski. Postanowił osiąść wraz z żoną Aleksandrą w Krakowie, we wspomnianej willi przy ul. Gramatyka pod numerem siódmym, tuż obok Domu Studenckiego „Piast”. Są to i moje ojczyste regiony, w tymże akademiku przeżyłem wraz z moją żoną Leokadią Anną i synem Igozem Solidarność oraz stan wojenny. W 1994 r. mieszkaliśmy już na skrzyżowaniu Lea i Chocimskiej, na szczęście też o rzut kamieniem od Gramatyka. W ciągu dwudziestu lat (1994–2014) odwiedza-

łem pana Jerzego niezliczoną liczbę razy, tym bardziej że już w 1999 r. zaprosił mnie do redakcji założonego przez siebie – na żądanie Giedroycia – miesięcznika „Nowaja Polska”. Do redakcji weszła także i pozostawała tam aż do śmierci w listopadzie 2013 r. Natalia Gorbaniewska, z którą obaj przyjaźniliśmy się długo i po równo.

Nazajutrz po pogrzebie Giedroycia Pomianowski mówił o swym nowym piśmie tak: „Miesięcznik ukazuje się już od roku. Dociera w głąb ogromnej Rosji, do jej umysłowej awangardy. (...) wreszcie przyszedł czas, aby mówić z Rosjanami jak równy z równym. Bo tylko tak można się porozumieć”. Od tamtych czasów do dziś ukazało się 190 numerów pisma, przygotowywanego w Warszawie i Krakowie, a drukowanego dla wygody w Moskwie, rozprzeczowanego zarówno po bibliotekach Federacji Rosyjskiej, jak i po domach rosyjskiej inteligencji.

Nie wszystkim w Rosji mogło się to spodobać. Redaktor „Naszego sowniennika” Stanisław Kuniajew zaatakował Jerzego Pomianowskiego i w ogóle całą Polskę w paszkwili „Szlachta i my” (2002), a i niżej podpisany doczekał się w rosyjskim internecie srogiego potępienia za tekst o Aleksandrze Waciu (potępienie owo zatytułowane było „*Polaki atakują Stalina*”). Gospodin Kuniajew, także stalinista, pod koniec 2009 r. złożył nawet donos do moskiewskiej prokuratury na „ekstremistyczną »Nową Polskę«” i sprawa została wszczęta, ale umorzono ją po cichu tuż po katastrofie smoleńskiej. Kto znał Jerzego Pomianowskiego, ten dobrze wie, iż podobne sytuacje tylko dodawały mu skrzydeł.

Najbliższy Wschód

Gdy osiedlił się już na zawsze w Krakowie, mógł tu spokojnie odbierać stosowne hołdy, dyplomy i krzyże zasługi, prowadzić uczone dysputy na tematy wieczne. Ale jego pociągała przede wszystkim wielka historia, czyli dzień współczesny, i był zarazem nieuleczalnie chory na Polskę. Pragnął tak jak Giedroyc wywierać wpływ na rozwój wydarzeń w naszej części Europy – w Ojczyźnie i na Najbliższym Wschodzie. Powiedział w 2000 r.: „Byłem obecny na pogrzebie Giedroycia w Maisons-Lafitte, ale nie chcę przeżyć, nie chcę być obecny na pogrzebie jego koncepcji”.

Opisywał tę koncepcję wielokrotnie, m.in. na łamach „TP” we wrześniu 2000 r. w artykule na śmierć Giedroycia, pt. „Chleb z Mejszagoły”: „Był pewien, że rozpad Związku Sowieckiego jest nie-

uchronny. (...) To Giedroyc z Mieroszewskim sformułowali takie zasady polskiej polityki wschodniej, które są dla nas rękomią trwałej niepodległości. Są zarazem rozwiązaniem wiecznego dylematu – jak wiązać się z suwerenną Ukrainą, nie czyniąc sobie z Rosji wroga? Giedroyc bowiem nie zalecał swej koncepcji jako narzędzia walki z Rosją i Rosjanami. Zgadzał się z tezą, wedle której niepodległość naszych wspólnych sąsiadów jest warunkiem rozwoju samej Rosji; toż walnym hamulcem koniecznych tam reform jest pokusa odwojowania Ukrainy”.

Nie trzeba dodawać, że dziś odpowiedzi na te pytania nie są już tak oczywiste, jak to było nazajutrz po śmierci Giedroycia. Rosja odwojowała krymski kawałek Ukrainy i zdestabilizowała jej wschodnie regiony, a na Ukrainie po drugim Majdanie – wobec bezprzykładnej korupcji i nieudolności aktualnie rządzących – istnieje niebezpieczeństwo wybuchu trzeciego. W Rosji Polska stała się dyżurnym wrogiem, a w Polsce rusofobia przekłada się jak nigdy dotąd na głosy wyborcze. Poważna refleksja nad całym Najbliższym Wschodem – nieograniczona tylko do jednej, białoruskiej, rosyjskiej czy ukraińskiej przestrzeni – umiera na naszych oczach.

Pamięć pomianowska

Zespoliło się w tym jednym człowieczym istnieniu tyle dzielności, że można byłoby nimi obdzielić legion innych. Przychodzi mi na myśl przy pożegnaniu liryczna fraza Mandelsztama o dwóch siostrach – „pełni i lekkości”. Pomianowski umiał mówić, pisać o rzeczach fundamentalnych elegancją, rytmiczną i lekką polszczyzną, używał niespotykanych metafor, frazeologizmów, będąc przy tym aż do bólu ścisłym i konkretnym. A do tego jeszcze humor i ironia, zdolność do roztrząsania – niczym owe „malcziki” u Dostojewskiego – rzeczy

wiecznych, a zarazem radość z tego jednego, niepowtarzalnego życia, zmysłowość, zachwyt nad naturą i rzeczami pięknymi. Miał nadzwyczajną pamięć, którą ośmielił się nazwać „pamięcią pomianowską”. To dzięki niej mogliśmy i my w XXI wieku mieć nieodparte wrażenie, że spotkaliśmy na swej drodze takich „wspaniałców” jak Witkiewicz czy Schulz, a następnie zagłębiać się wraz z narratorem w meandry polityki Piłsudskiego, słuchać wielce intrygujących historii o włoskiej polityce lat 80. XX wieku.

Przybywszy do nas z epoki zaprzęsłej, był profesor Jerzy Pomianowski jak najbardziej zanurzony w dniu współczesnym, a sen z powiek spędzała mu przede wszystkim przyszłość Polski. Rankiem w dniu, w którym umarł, nie wiedząc jeszcze o jego śmierci, wziąłem do ręki „Krag pierwszy” w jego przekładzie i wpatrzyłem się w fotografię na czwartej stronie okładki, zrobioną 8 czerwca 1995 r. w Moskwie. Widać na niej obok siebie dwie piękne, lekko uśmiechnięte twarze dwóch gigantów ducha i umysłu XX i XXI wieku – rosyjskiego Aleksandra i polskiego Jerzego. Gdy Solżenicyn umarł w sierpniu 2008 r., Pomianowski opublikował w „Polityce” esej pożegnalny – „Żegnaj wielki Aleksandrze”. Żegnaj i Ty, wielki Jerzy, i oby ów smok, z którym tak mężnie i roztropnie walczyłeś przez całe swe długie życie, nie odzyskał nic ponad to, co odwojował w ostatnich dwóch latach. A niechby nawet i to utracił.

© GRZEGORZ PRZEBINDA

Autor jest filologiem rusycystą i historykiem idei. Wykłada na Uniwersytecie Jagiellońskim. Jest rektorem Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej im. Stanisława Pigoń w Krośnie. Ostatnio ukazał się nowy przekład „Mistrza i Malgorzaty” Michała Bułhakowa, którego jest współautorem.

POŻEGNANIE

29 grudnia 2016 r.

zmarł

prof. Jerzy Pomianowski

Jeden z najbliższych współpracowników „Kultury”
i przyjaciel Jerzego Giedroycia.

Żegnają Go

INSTYTUT LITERACKI W PARYŻU I FUNDACJA KULTURY PARYSKIEJ